

RICHARD
SCHWARTZ

PIERWSZY
RÓG

TAJEMNICA ASKIRU - TOM I



© 2006 Piper Verlag GmbH, München/Berlin

Tytuł oryginału: Das erste horn. Das Geheimnis von Askir 1

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka niemieckiego: AGNIESZKA HOFMANN

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: Anita Brylewska, BARBARA JARZĄB

Fotografia użyte na okładce:

WWW.FOTOLIA.COM #1517841122 | AUTOR: RASICA

WWW.FOTOLIA.COM #193097802 | AUTOR: ANDREY KUZMIN

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-68-2



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

Druk i oprawa: DRUKARNIA README, www.readme.pl

RICHARD
SCHWARTZ

PIERWSZY
RÓG

TAJEMNICA ASKIRU – TOM I

Tłumaczenie z języka niemieckiego

Agnieszka Hofmann



initium
wydawnictwo

KRAKÓW 2018



1 MAESTRA

W zajeździe Pod Głowomłotem gościłem już wiele razy, toteż do moich przywilejów należało posiadanie osobnego stołu nieopodal szynkwasu. Miałem stamtąd dobry widok na drzwi, czysty zbieg okoliczności jednak zrządził, że podniosłem wzrok akurat w chwili, gdy wkroczyła do izby.

Kobieta wiedziała, jak zrobić dobre wejście: najpierw błyskawica rozświetliła przez szpary w okiennicach wewnątrz karczmy, potem ziemię wprawił w wibracje grzmot. Z pewnością tylko przypadek sprawił, że dokładnie w tym momencie pchnęła drzwi izby i zimny powiew zgasił połowę dymiących świeczek łożowych.

Wiatr zimnymi palcami pochwycił skrzydło drzwi i zatrzaskał je za nią z taką siłą, że obawiałem się, iż zerwie się skórzany rzemień służący za zawiasy. Jaskrawa, oślepiająca jasność ponownie wlała się przez każdą szczelinę w ciężkich okiennicach; gospodą wstrząsnął nowy grzmot.

Do wtóru świszczącego wiatru niemo taksowaliśmy ciemną postać. Ten i ów przeżegnał się znakiem Trój-



cy, ktoś ucałował idole, któryś z żołnierzy zawołał imię boga, o którym chyba nikt wcześniej tu nie słyszał.

Przez chwilę stała tak w ciszy, pozwalając, byśmy mierzyli ją spojrzeniem. Płaszcz o barwie nieba o północy, ciężki i mokry od jazdy konno w jednej z najgorszych śnieżnych burz dekady, nie ukrywał jej kobiecości, mokra tkanina wręcz podkreślała jej kształty. Kaptur był zsunięty głęboko na twarz i w niepewnym świetle pozostałych świec ukazywał zaokrąglony, zdecydowany podbródek oraz pełne usta, zaciśnięte teraz w wąską kreskę. Po jeździe w takiej zamieci też nie byłbym w najlepszym humorze.

Jej cera była jasna, biała jak śnieg, który właśnie groził zasypaniem tej gospody na odludziu. Długa peleryna zakrywała resztę jej osoby – z wyjątkiem czubków kolczych butów, a choć na suknie osiadło mnóstwo małych płatków, dało się zauważyć granatową poświatę typową dla mithrilu.

Nad jej lewym ramieniem wznosiła się rękojeść miecza bękartego, dla każdego doskonale widoczna przez pęknięcie w pelerynie. Srebrny smoczy łeb znajdował się wyżej niż jej głowa, a opłot rękojeści z ciemnej skóry prowadził do jelca w kształcie dwóch łap – srebrne pazury w migotliwym półcieniu wyglądały niemal jak żywe, zaś ślepie smoka były groźbą z ciemnego rubinu. Po rękojeści, po całej jej postaci przebiegł błędny ogień i unurzał ją w słabym błękitnym blasku, gdy uniosła rękę, żeby zsunąć kaptur i rozpiąć płaszcz.



Błada twarz robiła nie mniejsze wrażenie niż wejście kobiety. Była klasyczną piękną, choć jej oczy żarzyły się lekko czerwienią. Włosy, które odsłoniła, splecione były w długi, płowy warkocz, biały niemalże, i w świetle błędnego ognika zdający się jarzyć wewnętrznym blaskiem. Albinoska – lub jedna z legendarnych elfek.

Pancerz, który ukazał się pod rozpiętym płaszczem, zaliczał się do tych skarbów, o jakie waśniły się królestwa: kolczuga z mithrilu, delikatna i miękka jak jedwab oraz niewiele cięższa od skóry; opływała jej kształty niczym granatowa rzeka i otulała ją poświatą. W splotach kolczugi na jej piersi zamajaczył gryf, rozżarzył się, przygasł i pojawił ponownie w rytmie jej oddechu. Biodra nieznamojem opinał szeroki pas mieczowy – podkreślał jej wąską talię i podtrzymywał kolejny miecz: długi, o nie mniej wyborowym wykonaniu.

Rękawiczki, które teraz zdjęła, były z granatowej skóry, miękkie i gładkie, połyskliwe, z widocznymi drobnymi łuskami. Pokręciłem powoli głową, nie dowierzając własnym oczom. Umiałem rozpoznać smoczą skórę, ale ta nie tylko pochodziła od smoka, lecz została zdjęta z pewnej bardzo szczególnej części jego ciała. Nie wiem, jakie bydlę poświęciło skórę na te rękawiczki, ale na pewno nie miało już pożytku ze swych jąder.

W karczemnej izbie było może z czterdzieści osób, a każda z nich była zahipnotyzowana jak królik pod wzrokiem węża. Tak działał wyraz malujący się na jej twarzy i spojrzenie czerwonych oczu, którym nas omiotła.



– Jestem sera maestra de Girancourt. Noszę Kamienne Serce, Ostrze Sprawiedliwości.

Więc w dodatku jest związana z mieczem. Trudno było się spodziewać czegoś innego, sądząc po rękojęści nad jej ramieniem. Smoczy łeb zdawał się lustrować izbę wzrokiem tak samo jak ona.

Dostojny gość, jak na tę nędzną chałupę, w rzeczy samej. To wyjaśniało również, dlaczego dotarła tu żywa. Taka zbroja może i chroniła, jednakowoż warta była majątek. Zastanawiałem się, ilu zbójów i wyjętych spod prawa skusiło się i poczuło Kamienne Serce na własnej skórze.

Jej głos był jak ona sama: klarowny i emanujący zimowym chłodem. Docierał do każdego ucha w tym pomieszczeniu, pozostawiając wrażenie lodowatego piękna i jeszcze bardziej lodowatej woli.

Karczmarz – nieduży, przysadzisty mężczyzna z rzednącymi włosami – pierwszy otrząsnął się z przestachu. Dojrzał jej wyczekiwanie, nakazujące mu podejść, i z głębokim pokłonem spełnił niemy rozkaz.

– Witamy Pod Głowomłotem, w najlepszym zajęździe między Lassahndaarem a Coldenstattem. – Słuszna uwaga, przyjacielu. Zwłaszcza że było to też jedyne schronienie, jeśli nie chciało się nocować w starej warowni na przełęczy. A tego nikt nie chciał. Za dużo duchów. – Jestem Eberhard, karczmarz. Niech mój skromny dom będzie i waszym, pani. Dam wam najlepszy pokój, tylko muszę go zwolnić.



– Na razie byłabym wdzięczna za dobrą pieczeń i zacne wino – odparła sera.

– Oczywiście, oczywiście... – Gnąc się w unizonych pokłonach, zaprowadził damę do stołu obok mojego i zapewnił, że zostanie natychmiast obsłużona. Kobieta płynnym ruchem odpięła pochwę z Kamiennym Sercem i postawiła na czubku obok stołu, gdzie utzymała się w pionie bez żadnego oparcia – prosta oznaka, a jednak sprawiająca wrażenie, że to jeden z mieczy związanych z tym, kto go nosi.

Dziewka służebna nadbiegła i postawiła na stole przed serą podgrzany cynowy kubek z czerwonym winem i drogocennymi goździkami. Potem dygnęła z szacunkiem, by natychmiast czmychnąć z powrotem do kuchni. Karczmarz tymczasem odwrócił się do mnie; domyślałem się, czego chce.

– Ser! Musicie zrozumieć, panie... – zaczął. Czekalem. – Sera potrzebuje pokoju. Z pewnością nie będziecie mieli nic przeciwko temu, by odstąpić takiej damie wasz. To najlepszy pokój, jak wiecie...

– Nie – odparłem kategorycznie. – To mój pokój. Płacę królewską monetą, i to za pełne trzy tygodnie. Nie zwolnię go.

– Ale nie możecie przecież... – Gestykulował żywo, w jego oczach malowała się desperacja.

– Dajcie jej inną izbę, tylko odrobinę gorszą od mojej.

Powędrował wzrokiem do dowódcy żołnierzy, który siedział z piątką swoich ludzi przy innym stole i grał



w kości, zanim sera ożywiła wieczór swym przybyciem. Mężczyzna uśmiechnął się jadownicie, pokazując żółte jak u drapieźnika zęby. Tylko spróbuj, człowieczku – zdawał się mówić tym uśmiechem.

Gospodarz odwrócił się z powrotem w moją stronę, szukając pomocy.

– Ależ panie, widzicie przecież, że żołnierze nie ustąpią. Błagam!

Zdawałem sobie sprawę, że sera śledzi naszą rozmowę. Zajęła najlepszą z możliwych pozycję, podobnie jak ja uznając, że korzystnie będzie mieć za plecami szynkas. Śledziła wzrokiem izbę, a raz po raz również mnie. Nawet drgnieniem nie dawała poznać, że jest zainteresowana moją rozmową z karczmarzem, wiedziałem jednak, że słucha. Nie omieszkła również zlustrować żołnierzy, u których pod mgielką upojenia wyraźnie dało się rozpoznać pożądlivość.

– Dajcie jej pierwszy z brzegu wolny pokój – oznajmiłem. – Weźmie go i będzie wam przychylna, że zaofiarowaliście jej najlepsze pomieszczenie, pomimo iż było już wynajęte. Gdybyście jej tego nie obiecywali, nie byliście teraz w opresji.

– Ale...

– Zróbcie to. – Nie podniosłem tonu w znaczący sposób, ale pochwyliłem wzrokiem jego spojrzenie. Oczy karczmarza rozwarły się szeroko. Pokiwał żarliwie głową.

Drżącym głosem wyjaśniał teraz serze, że może jej zaofiarować tylko skromny nocleg, że nie chce jej obrażać, ale...



Uniosła szczupłą rękę.

– W porządku, dobry człowieku. Zadbaj o ty, by pchły nie dokazywały za bardzo, to mi wystarczy.

Karczmarz pokiwał ochoczo głową, nie mogąc uwierzyć, że tak łatwo mu wybaczone, a potem dał dyla do kuchni, gdzie chciał ze szczególną starannością przygotować pieczeń.

Ona zaś skorzystała z okazji, by obejrzeć sobie każdego w izbie i zorientować się w sytuacji. Jej spojrzenie w końcu spoczęło na mnie. Odwzajemniłem je bez drgnienia powieki.

Wiedziałem, co widzi. Ciemną opończę z grubego lnianego sukna i skóry, głęboko opuszczony na twarz kaptur i podłużną skórzaną sakwę, opartą o ścianę za mną. Dłonie miałem schowane w rękawach, przed sobą kubek z ledwie tkniętym winem. Pod opończę szerokie barki. Kiedy powędrowała wzrokiem ku moim stopom, rozpoznała buty kolcze, niewiele różniące się od jej własnych, lecz znacznie mniej kosztowne i wykonane z mniejszym kunsztem. Nie chciałem, by było widać więcej. Poza tym w izbie było chłodno, a ja od jakiegoś czasu marzłem łatwiej niż niegdyś. Dość powodów, by otulić się peleryną.

– Szukam Roderica von Thurgau – podjęła chłodnym głosem. – W Lassahndaarze powiedziano mi, że zamierzał poszukać kwatery na zimę w tej opuszczonej przez bogów okolicy. Jego opis pasuje do was. Czy to wy jesteście tym, kogo szukam?



Westchnąłem w duchu. Zapewne musiałem nim być, wszak nie byłem podobny do nikogo innego w tej izbie.

– Thurgau nie żyje. Od niemal trzydziestu lat. Poległ w bitwie pod Avincorem.

– Tak mówią. – Wstała z miejsca, bez zastanowienia zabierając do mego stołu Kamienne Serce. Postawiła miecz obok siebie.

– Pozwolicie? – zapytała po fakcie, siedziała już bowiem.

Nie poruszyłem się.

– Nie.

Uniosła brew.

– Nie życzycie sobie, bym zajęła miejsce przy waszym stole?

– Dobrze to ujęłyście, sera. Szukam tu spokoju po trudach podróży, nie mam nastroju na babskie gadanie.

Zamrugła raz, drugi.

– Jesteście opryskliwi.

– Tak, a wy nadal tu siedzicie. Wasze wino czeka na tamtym stole.

Skinęła głową.

– Karczmarz zaraz mi je przyniesie.

Eberhard usłyszał jej słowa i pośpieszył, by podać jej pucharek z ciemnej cyny.

W podzięcie obdarzyła go uśmiechem. Przez moment myślałem, że karczmarz na miejscu padnie z zachwytu, ale zaraz wziął się w garść i pomknął na zaplecze.

– Możecie się przesiąść, jeśli chcecie – zasugerowała z uśmiechem. – Lecz wówczas będę musiała się ruszyć



ponownie, chciałabym bowiem zaproponować wam interes.

– Nie jestem zainteresowany. – W rzeczy samej zebrałem się do odejścia, lecz ona sięgnęła ku szyi i wysuwała mały woreczek. Opróżniła jego zawartość na dłoń i upuściła na stół.

Był to ciężki sygnet, pierścień przeznaczony dla mężczyzny, choć rozmiarem za mały na męski palec. Ktoś wyraźnie kazał go zwęzić. Na rubinowym tle widniał relief z kości słoniowej. Jednorożec i róża. Herb rodu von Thurgau.

Przyjrzałem mu się.

– Piękna rzecz – oznajmiłem, siłąc się na obojętny ton.

– Niegdyś był to zastaw waszego honoru.

– Honor łatwo dziś się przecenia. Przynosi śmierć i niewiele szczęścia – odpowiedziałem jej. Wsunąłem z opończy rękę, bez schowanego w niej sztyletu, i przytrzymałem w górze. Wciąż była szeroka i silna, ale pergamin mej skóry zdobiły ciemne starcze plamy. – Kiedy ser Roderic dał jej ten pierścień, miała zaledwie dziesięć lat. To było więcej niż trzydzieści lat temu, nie ujrzała go nigdy więcej. Zginął bowiem, jak każdy wie, na przełęczy Avincor. Wraz z rycerzami Związku. Żaden nie przeżył, ale przełęcz utrzymali.

– Pamiętacie, jak wyglądała? – zapytała.

Wzruszyłem ramionami.

– Macie na myśli księżniczkę? Nie obracam się w tak szacownych kręgach. Słyszałem jednak, że była drobna,



jasnowłosa i chorowita. Ser Roderic zapewne również widział niewiele więcej niż szczupłą rękę, która przyjęła od niego pierścień. Tak głosi ballada. Wszyscy znają tę historię.

– On i czterdziestu wiernych mu towarzyszy. Każdy przysięgał jej, że odda życie, by obronić jej kraj przed barbarzyńcami. Utrzymali przełęcz. Przez dwanaście dni. – Jej głos zniżył się do szeptu, mówiła cicho, niemal nabożnie. – Wystarczająco długo, by armia hrabiego Filgana przygotowała się na przyjęcie barbarzyńców, gdy tylko przejdą przez przełęcz. Tylko że oni nigdy nie nadeszli.

– Gdyby hrabia wysłał zwiadowców, zdałby sobie sprawę, że mógłby uratować co najmniej połowę wiernych kamratów. Lecz on tylko siedział na tyłku w swym haftowanym perlami namiocie i czekał, co się stanie. – W moim głosie zabrzmiała gorycz. Ale uraza była zaledwie echem, cieniem minionych dni. Słabym jak ja. – Jestem stary. To mnie łączy z ser Roderikiem. Miałby teraz sześćdziesiąt lat, może więcej. Nawet gdybym nim był, do czegoś przydałby się taki starzec serze maestrze? Nosicie Kamienne Serce, ale macie również szkolenie w obejściu z magią. Cóż takiego mógłby zrobić dla was ser Roderic, czego nie potrafiłybyście same?

Obróciłem dłoń przed jej oczami.

– Ser Roderic jest znacznie starszy od was. A to, czego od niego chcę, to porada.

– Ja mogę dać wam radę, byście zapomniały o nim. Ser Roderic zmarł na tamtej przełęczy.



– Nie chcecie wiedzieć, dlaczego potrzebuję jego rady?

Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem łyk ze swego pucharu. W końcu zapłaciłem za to wino. Zaskoczyło mnie na korzyść. Nawet dało się je pić.

– Nieszczególnie. Za kilka lat nic już nie będzie mnie interesowało. Może nawet za kilka miesięcy. Pewnie już niedługo pozostanę na tym świecie.

– Miasto Kelar miesiąc temu zostało wzięte przez Imperium Thalak.

Kelar. Pamiętałem wysokie mury, składy i spichlerze. Zaskoczyły mnie jej słowa. Dwieście dziewięćdziesiąt lat temu Kelar był oblegany przez prawie dwadzieścia lat, ale się nie poddał. Niegdyś zainteresowałoby mnie to, lecz dziś... – Oblężenie trwało od ośmiu lat. Można się było tego spodziewać.

Podniosła wzrok.

– Nie macie w sobie współczucia?

– Współczucia? Wojna to wojna. – Zaletą wieku było to, że można było wypowiadać takie słowa, nie czując się przy tym idiotą.

– Imperator kazał zniszczyć miasto. Stracono każde dziecko, każdą kobietę i każdego mężczyznę. A Melbaas, Angil i Jatzka poddały się, nie chcąc dzielić tego losu.

– Melbaas się poddało? – To akurat była niespodzianka. Nieprzyjemna niespodzianka. Miasto to uchodziło za twierdzę nie do zdobycia. Z portem, jako zapleczem, mogło stawiać opór w nieskończoność.



– Thalak wykorzystał czarną magię do zdobycia miasta. Wieść głosi, że kazał za dnia przerzucać kaptułą przez mury własnych martwych żołnierzy, by nocą wskrzeszać ich do życia.

– Imponujące. I kreatywne.

Posłała mi miazdzące spojrzenie.

– Po upadku Kellaru królestwo Jasfaru ogłosiło całkowitą kapitulację i jako rękojmię wysłało do księcia Thalaku.

Westchnąłem. Wiedziałem już, dokąd to prowadzi. Powoli pokiwałem głową.

– W ten sposób niemal nic już nie stoi między naszym a jego królestwem. Nasza piękna księżniczka będzie musiała pochylić swą płowłosą głowę przed imperatorem. Taki los koronowanych głów. Raz się klęka przed nimi, raz oni klękają przed nami.

Uderzyła w stół zaciśniętą pięścią. Ledwie zdołałem uchronić swój puchar przed przewróceniem się. Był jeszcze prawie pełen, a mnie zaczęło suszyć od mówienia. Wypiłem łyk, zanim dobre wino skończy bezsensownie rozlane na stole.

– Ser, jak możecie mówić coś takiego! To nasza królowa!

Uniosłem ostrzegawczo palec.

– Nie mój kraj, nie moja królowa. Pochodzę z Letasanu.

– Ser Roderic...

– Nie jestem ser Roderikiem – przerwałem jej ponownie. Złe maniery – kolejny przywilej wieku. Poza tym nie



miałem nic do stracenia, nawet gdyby miała przemienić mnie w jeża. Kogo to obchodziło? Przypatrywałem się własnej dłoni, która umoczyła palec w czerwonym winie i nakreśliła na stole trójkąt. Z fascynacją przypatrywałem się, jak wykonuje niewielki gest, sprawiający, że trójkąt się rozżarza. W powietrze uniósł się zapach płonącego drewna. – Na Trójcę, nie jestem ser Roderikiem. – Kolejny drobny gest i poblask zgasł, pozostawiając jedynie idealny trójkąt wypalony w drewnie. Zdumiewające, jakie rzeczy człowiek przypomina sobie w chwili nieuwagi. Kiedy znów podniosłem wzrok, zobaczyłem w jej oczach zrozumienie i porażkę. O ser Roderiku wiadomo było, że za pomocą magii nie potrafił nawet zapalić świecy. Był wojownikiem, słynnym wojownikiem, lecz bez magicznego talentu. Gdy ponownie się odezwałem, mój głos był cichszy, bardziej przyjazny: – Czego właściwie od niego chcecie, sera maestra?

– Potrzebuję eskorty przez Gromogóry, step, potem królestwo Xian aż do Askiru.

– Askiru? To on w ogóle istnieje? Myślałem, że to tylko legenda. A taka podróż musiałaby potrwać wiele miesięcy. Jeśli wszystko poszłoby gładko. – Zapatrzyłem się w puchar. Zdaje się, że wypilem jednak więcej, niż sądziłem, bo był niemal pusty. – Bezcelowa podróż, której nie powinno się narzucać staremu człowiekowi. Nie mówiąc o tym, że aby dotrzeć do Gromogór, trzeba pokonać przełęcz. – Potrząsnąłem głową. – Daremne przedsięwzięcie, nawet przy waszych magicznych mocach.



Milczeliśmy przez chwilę. W tle słyszałem szmer rozmów innych gości, cichszych teraz. Raz po raz rzucali spojrzenia w naszą stronę. Nie podobało mi się to. Zapamiętają serę, nie sposób było ją zapomnieć. I zapamiętają starca, którego towarzystwa szukała tak jawnie.



2 WIĘŹNIOWIE BURZY

Na dworze hulał wiatr, ogień w kominku podrygiwał pod dymnikiem, nawet grube mury zajazdu powoli traciły ciepło. Jedna z dziewczek usiłowała uszczelnić szpary w oknach za pomocą sznurka nasączonego łojem. Niejeden żołnierz śledził pożądliwym wzrokiem jej wdzięczne ruchy, inni świdrowali spojrzeniem szczupłą postać przy moim stole.

Jeśli przeczucie mnie nie myliło, byliśmy zmuszeni spędzić tu kilka kolejnych dni. Zanim się zjawiła, nie za bardzo interesowało mnie, co się stanie. Lecz teraz była tu, a ja na nowo zacząłem się bić z myślami. Przyjrzałem się pozostałym osobom, z którymi – chcąc nie chcąc – musieliśmy w najbliższym czasie dzielić strawę i dach nad głową. Wszyscy byliśmy więźniami burzy.

Większość była zwyczajnymi podróżnymi. Tuż przed południem przybyło dwóch kupców. Ich duże, ciężko załadowane wozy stały na dziedzińcu – pokusa dla każdego lichwiarza, który chciałby prędko się doro-



bić. Pokusa, której nie pomniejszał fakt, że niewielkiej karawanie towarzyszyło ośmiu strażników, bowiem ci świadczyli jedynie o pokaźnej wartości przewożonego towaru.

Kąt nicopodal drugiego kominka zajęło inne podróżne towarzystwo. Ich bogate i strojne szaty były mi obce, przechodząc obok, usłyszałem jedynie, że pochodzą z Lehemaru. Jeśli tak było, mieli za sobą długą drogę. Grupkę tworzyli starszy mężczyzna i dwie młode, nader urodziwe kobiety. Towarzyszyło im trzech wojowników, zarabiających na żółd pilnowaniem, by cnota córek pozostała nietknięta. Wszyscy trzej nosili na piersi ten sam herb, czyli nie zostali najęci tylko na czas podróży, lecz służyli na stałe. Mężczyzna spędzał czas na rozglądaniu się wokół z dezaprobatą, a jego córki wyglądały na zbyt nieśmiałe, by choć oddychać bez jego zgody. Opatulone ciasno w peleryny, płochliwie obserwowały, co się dzieje wokół. Jeśli któraś z nich choćby raz się odezwała, to musiało mi to umknąć. Potrafiłem sobie wyobrazić tylko jeden powód, dla którego takie towarzystwo udaje się w wojaże: zamiar wydania za mąż jednej lub obu córek. Zapewne cieszyły się, że wreszcie umkną przed ponurymi spojrzeniami ojca.

Innymi przejezdnyymi byli górnicy z pobliskich kopalni miedzi – zapewne zmierzali do domów, by spędzić nadchodzące święta z rodziną. Był tu też pastuch ze stadem krów, których większość zamarźnie poza murami zajazdu. Już teraz zapijał swe troski i zaległ, głośno chrapiąc, pod jednym z dwóch kominków. W izbie

dostrzegłem jeszcze jedną zakutaną w pelerynę postać, w kapturze naciągniętym na twarz, która zajęła drugie z najlepszych pod względem strategicznym miejsc. Ciepło kominków raczej nie sięgało do tego kąta. Również ta osoba przybyła późno: smukła postać przestąpiła próg zajazdu tuż przed zachodem słońca i nie umiałem jeszcze jej zaseregować. Jedyne, co o niej wiedziałem, to że oba wierzchowce, które zostawiła w stajniach, były przedniej jakości. Nie potrafiłem rozpoznać, czy gość ów pod opończą i kubrakiem nosi zbroję, jednak o ścianę przy nim opierał się długi miecz.

No i zatrzymali się tu też „najemnicy” – by nazwać ich słowem odrobinę zbyt pochlebny, lecz znośniejszym od tych, na które pewnie zasługiwali: zbójcy, wyjęci spod prawa, rabusie, mordercy albo po prostu hołota. Było ich dziewięciu. Przybyli razem, tuż po zachodzie słońca, lecz nie byłem pewien, czy rzeczywiście stanowili jedną drużynę. Być może po drodze tylko natknęły się na siebie dwie bandy i zawarły pokój na czas śnieżnej burzy. A może dogadali się, że będą działać razem.

Grupa najemników składała się z szóstki siepaczy. Ich podbite futrem płaszcze były ubabrane, podobnie jak wszystko, co do nich należało. Widać było wyraźnie, że rzadko przebywają pod dachem. Nawet w wypełniającej izbę mieszaninie zapachów, wśród woni piwa, gorzałki i mokrej wełny, dymu z kominka i aromatu pieczeni dochodzącego z kuchni, wyczuwałem odór starego potu i krwi. Przez całą wieczór śledzili pozostałych gości, raz



po raz omiatali wzrokiem kupieckich strażników i trójkę podróżnych, krążyli niby bez celu po zajęździe, oglądając schody, drzwi, wejścia i wyjścia. Albo poządliwie gapili się na smukłe kształty kuchennej dziewczki.

Trzej pozostali być może byli tymi, na których wskazywał ich wygląd – prezentowali się nieco lepiej niż szóstka ich kamratów, nosili pancerze ze skóry wzmocnionej stalowymi płytkami i byli uzbrojeni w sztylety oraz długie miecze. Wyglądali profesjonalnie i spokojnie. Podczas gdy pierwsza grupa zachowywała się coraz głośniej i zagrzewwała wszystkich do wspólnego rehotu nad sprośnymi żartami, pozostała trójka zachowywała się powściągliwie i powoli, choć nieustannie opróżniała kubek za kubkiem.

Zajazd miał niewiele pokoi: dwa jednoosobowe, dwa mające po sześć łózek oraz dwa większe pomieszczenia sypialne na poddaszu. Innych gości proszono o nocowanie na sianie w stajniach. Wziąwszy pod uwagę ziąb, na jaki się zanosilo, stajnie z pewnością nie były najgorszą alternatywą. Zwierząt było więcej niż ludzi, a stajnie wypełnione po brzegi. Ciepło zwierzęcych ciał bez wątpienia chroniło przed zamarzeniem.

Zajmowałem jeden z dwóch pojedynczych pokoi i wiedziałem, że wszystkie pomieszczenia są pozajmowane. Pokoju nie dostała już grupka wytwornych podróżnych, co spotkało się z tak głośnym protestem mężczyzn, że wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy w końcu postanowił usiąść i się uspokoić.



Z tego wynikało, że sera mogła spać albo w stajni, albo w jednym ze wspólnych pomieszczeń. Nie było towarzystwo, w jakim życzyłbym sobie tkwić w zajeździe zasypanym śniegiem.

W zajeździe przebywał też sam karczmarz; oprócz niego ktoś – kucharka lub kucharz – krzątający się w kuchni, chłopak stajenny, zapewne nieradzący sobie z ogromną liczbą zwierząt, trzy dziewczki służebne w wieku od piętnastu do dwudziestu lat, młode, szczupłe i przyjemne dla oka. Stare oczy też potrafią się cieszyć wdziękiem dziewczęcych ruchów. Mężczyźni wodzili za nimi wzrokiem, ale w przypadku większości z nich mnie to nie martwiło. Mój niepokój budziła okoliczność, że do kobiecych krągłości lepią się wzrokiem niektórzy z najemników, a w ich spojrzaniach widniała chęć wzięcia sobie tego, co im się podoba.

Ponieważ zajazd leżał daleko od jakichkolwiek osad, nie było nic dziwnego w tym, że karczmarz zatrudniał do cięższych prac dwóch młodych, silnych parobków. Nosili u boku krótkie, oplecione skórą pałki. To może wystarczało, by nauczyć dobrych manier moczymordy, ale przeciwko dziewięciu żołdakom ich szanse były raczej marne.

Ponownie zwróciłem się do sery maestry:

– To nie jest dobry czas na odwiedziny tego miejsca.

Uniosła brew, jak wszystko w niej błada, a mimo to wyrazista. Jej oczy utraciły czerwonawy blask, być może



był on tylko moim urojeniem lub odbiciem ognia z kominika. Teraz miały barwę fioletu, nieporównywalną z niczym innym. Przez tę chwilę, gdy obserwowałem gości w karczmie, odzyskała rezon. Podczas gdy jeszcze przed momentem sprawiała wrażenie zasmuconej, rozgniewanej i sfrustrowanej zarazem, teraz wyglądała na rozbawioną. Być może moją osobą.

– Obawiacie się o moje bezpieczeństwo?

Popatrzyłem na nią.

– Wiem, że jesteście maestra. Obwieściliście to wszystkim, wchodząc do izby. Moje stare uszy są jeszcze w stanie słyszeć słowa, jeśli wygłosi się je dostatecznie głośno. Ale jednocześnie rzuciliście wyzwanie. Niektórzy widzą tylko zewnętrzną powłokę. I mogą ulec pokusie, nie zastanawiając się nad jej ceną. Wy wszak również potrzebujecie snu.

– Do czego zmierzacie?

Westchnąłem.

– Nakażę karczmarzowi, by wstawił do mojego pokoju dodatkowe łóżko.

– I z taką galanterią oferujecie mi ochronę na całą noc? – Roześmiała się. – Gdybyście byli kimś innym, posądziłabym was o nieczne zamiary.

– Jeśli zależy wam na niecnym zamiarach, zwróćcie się do najemników.

Obróciła się. Szóstka żołdaków przycichła, mówili coś między sobą, ale nieustannie obrzucali spojrzeniami dziewczki, które od jakiegoś czasu, obsługując ich stół, stały się ostrożniejsze. Najemnicy, a właściwie zbójcy, przy-

pominali mi sforę wilków, przemyśliwującą, jak najlepiej wyrwać sarnę ze stada.

Jeden z nich, herszt, zauważył spojrzenie maestry i teraz gapił się na nią bezwstydnie; na jego ustach wykwitł szeroki, złośliwy uśmiezek, ukazujący mocne, szarawe uzębienie, przypominające kły drapieżcy. Widok ten był znośniejszy od uśmiechów jego wyszczerzonych kompanów, pokazujących poczerniałe pieńki zębów. Ból ubytków z pewnością nie sprzyjał pogodnemu usposobieniu.

Nie zareagowała na jego spojrzenie, tylko powiodła wzrokiem po pomieszczeniu, rejestrując to samo, co ja, po czym ponownie zwróciła się w moją stronę.

– Dostrzegam to, o czym mówicie. Lecz widzę też jedenastu strażników. – Ona również nie brała pod uwagę parobków.

Skinąłem głową.

– Być może ten i ów z gości również byłby gotów bronić życia zimną stalą. Powiedzmy więc, że jest tu piętnaście osób zdolnych do obrony. Gdyby nasi przyjaciele coś planowali, mielibyśmy nad nimi przewagę liczebną. Czy właśnie o tym myślicie?

– Mniej więcej. Nie odczuwam jednak wielkiego niepokoju. Jestem dobrze wyszkolona w sztuce walki mieczem, a Kamienne Serce będzie mnie wspierać. – Przeniosła wzrok na miecz. Rubinowe ślepia smoka wpatrywały się we mnie drwiąco.

– Ostrze Spójni wiele może. Lecz bywało i tak, że wojownik połączony z mieczem magiczną więzią ginął, choć trzymał go w ręku – odparłem sucho.



Mówiono, że dusze tych, którzy nosili za życia taki miecz, znajdowały w ostrzu ostatni odpoczynek, wzbo-
gacając miecz o nowe umiejętności.

– Podoba się wam myśl, że kiedy nadejdzie wasz czas, dołączycie do innych zaklętych w ostrzu dusz? – zapytałem.

– Nie. Ale Kamienne Serce mnie przyjęło i gdyby nie ono, moja dusza byłaby już stracona. Nie wierzę jednak w to, że jest w nim zawarta dusza. Może to, czego dusza już nie potrzebuje, kiedy przekracza próg boskich hal: wiedza, doświadczenia i inne rzeczy.

Skinąłem głową.

– Może tak jest. W każdym razie niezbyt to przyjemna wizja spędzić resztę doczesnych dni uwięzionym w zimnym kawałku stali.

– Nie musi do tego dojść – odparła z uśmiechem. – Muszę tylko puścić miecz, zanim umrę.

– Tak, tak mówią – zgodziłem się z nią. – Zastanawiam się tylko, czy to naprawdę możliwe. Może gdyby zostać zabitym w łóżku. Lecz noszący ten oręż nader często umierają w butach i z mieczem w rękę.

– Nie mam jeszcze zamiaru umierać – oznajmiła i popatrzyła na mnie wymownie. Albo dlatego że była mastrą, a mistrzowie magii często wiedli nienaturalnie długie życie, albo robiła aluzję do swego pochodzenia. Jeśli nosi w sobie elfią krew – a kiedy na nią patrzyłem, uznawałem to za całkiem prawdopodobne – to lata liczyła tak, jak ludzie tygodnie.

Może oba przypuszczenia były słuszne.



W każdym razie jej spojrzenie mówiło mi, że nie wierzy w swą rychłą śmierć. Czy to maestra, czy elfia krew – stalowe ostrze wbite w serce przecina każdą nić życia. Była to gorzka lekcja, której jeszcze musiała się nauczyć.

– Tak czy siak, przyjmuję waszą propozycję. – Nachyliła się nieco, a ja poczułem jej zapach. Wełna pele-ryny, skóra kamizeli, śnieg, koń i ona – i nikły aromat róż. Perfumy. Od jak dawna nie obracałem się w towarzystwie, w którym używało się perfum? Wołałem o tym nie myśleć.

Mój wzrok spoczął na jej twarzy, na delikatnej, połyskliwej cerze, zaskakująco czarnych rzęsach, oczach w kolorze fioletu, błyszczących odcieniem, jakiego nie widziałem nigdy przedtem. Jej nos był ostry, lecz delikatnie zarysowany, z fascynacją obserwowałem, jak drżą jej nozdrza, śledziłem pulsowanie tętna na jej szyi. W końcu przywołałem się do porządku. Myślałem, że uodporniłem się już na pokusy kobiecości, lecz ona mnie ujęła.

Kiedy opowiedziała mi swoją historię, zakiełkowało we mnie straszliwe przypuszczenie, również i teraz szukałem w jej twarzy jakiejś wskazówki, lecz w końcu pokręciłem głową.

– Co takiego? – zapytała.

– Nic. Głupia myśl. Powiedźcie, jak to się stało, że wysłano was w tę niebezpieczną misję?

– Nikt mnie nie wysłał. Dobrowolnie zaoferowałam swe usługi. Królowa ma zaledwie garstkę wiernych osób, których lojalność wobec niej i korony jest niezachwiana.



Jako związana magiczną więzią z Kamiennym Sercem, jako Mistrzyni Magii, wyszkolona w sztuce walki mieczem, strategii i dyplomacji, uznałam, że jestem właściwym posłańcem jej słów.

– Zakładam, że dobrze znacie królową? – zapytałam, mimo woli zaciekawiony. – Jaka ona jest, królowa Illianu?

– Chora i przykuta do łóżka, i to od dawna – westchnęła sera. Zapatrzyła się w dal, być może widziała stary koronny zamek z królewską komnatą. – Lecz jej umysł ma podziwu godną ostrość, a wola jest niezłomna. – Splotła palce wokół pucharu i zacisnęła tak mocno, że aż pobieleły jej kostki. – Mówią, że lud kocha ją za jej mądrość. Gdyby poniesiono ją na noszach na bitwę, porwałaby wszystkich. Kiedy się na nią patrzy, jest się pod wrażeniem siły woli, która płonie w jej oczach jak ogień.

– Więc jej rany nigdy się nie zagoiły?

Pokręciła głową.

– Tak to już chyba jest, trudno wyleczyć złamany kręgosłup, nawet za pomocą magii. Nie jestem zbyt obeznaną ze sztuką leczenia, wydaje się jednak, że istnieje połączenie pomiędzy tym, co czują ręce i nogi, a głową, będącą siedzibą umysłu, który kieruje kończynami. To połączenie przebiega w kręgosłupie.

Skinąłem głową. Wiedziałem o tym. Cios w kręgosłup i przeciwnik rzadko wstawał na nogi.

– Kiedy księżniczka spadła z blanków, to był cud, że w ogóle przeżyła. Lecz złamała kręgosłup, a tym sa-

mym owo połączenie zostało przerwane, jak przecięte mieczem.

Niemal czytałem w jej myślach.

– To był równie podstępny czyn. Czy kiedykolwiek ujęto winnego?

Popatrzyła na mnie błyszczącymi oczami, a potem wzięła głęboki wdech. Mimowolnie przywarłem spojrzeniem do jej piersi, na co zareagowała drwiącą miną. Pośpiesznie odwróciłem wzrok.

– Nie. Sprawcy nigdy nie znaleziono. W rachubę wchodzi pięciu winnych, ona o tym wie, ale cała piątka jest poza wszelkimi podejrzeniami, a każdy z nich zbyt ważny, by ot tak poddać go przesłuchaniu.

– A czy magia nie rozróżnia prawdy od kłamstwa? – zapytałem niewinnie.

– Rozróżnia. W pewnych okolicznościach. – W jej głosie pobrzmiwała frustracja. – Myślicie, że nie wpadliśmy na ten pomysł? Lecz samo wezwanie do świątyni Borona na przesłuchanie przez któregoś z kapłanów lub przeze mnie graniczy z obrazą.

– Można by sądzić, że czterej niewinni powinni się zgodzić, tylko po to, by wskazać sprawcę.

– Można by sądzić, owszem. – Znowu zapatrzyła się w dal, a na jej twarzy pojawiła się pogarda. – Lecz z jakichś powodów mają odmienne zdanie. Może brali w tym udział wszyscy, może to był spisek. Może...

– ...to był ktoś inny. Niezdarny podkuchenny albo pijany żołnierz. A królowa sobie nie przypomniała?



Pokręciła głową.

– Nie. Stała na blankach, pogrążona w rozmyślaniach, kiedy poczuła pchnięcie od tyłu. Spadając, zobaczyła czerwony płaszcz. To wyklucza podkuchennego, lecz mało kogo poza nim. Jesteście pewni, że nie jesteście ser Roderikiem?

– Dość pewni. – Popukałem palcem w znak Trójcy, który wypaliłem w stole. – To powinno być wystarczającym dowodem. Wojownicy nie potrafią czarować.

– Znam sposoby, by i bez magicznych zdolności wykonać znak Trójcy, aby wyprowadzić kogoś w pole. – Przez moment świdrowała mnie wzrokiem, lecz nie dostrzegła nic w moich oczach. – Skoro wkrótce będziemy dzielić pokój i łoże, proszę was o wasze imię, ser.

Odchyliłem się do tyłu, rozbawiony jej formalną prośbą.

– Mówcie mi po prostu Havald.

– Znam to słowo. Czy nie znaczy „zapomniany”?

– Między innymi. To najbardziej rozpowszechnione znaczenie. Inne to „przeklęty”.

– I co, jest pan nim? Przeklętym?

– Czasami wydaje mi się, że tak – odpowiedziałem. – Lecz jeśli mam być szczerzy, to myślę, że jestem tak samo przeklęty jak każdy, kto napotyka na swej drodze przeciwności losu. Ludzie często mają poczucie, że spotyka ich za coś kara. To nie klątwa na nas ciąży, to tylko życie. – Zawiesiłem wzrok w oddali. – Kiedy osiągnie się pewien wiek, czyny młodości często wydają się bezsensowne, jakby życie,



które się wiodło dotychczas, nie miało żadnej wartości. „Zapomniany” jest trafniejszym słowem niż „przeklęty”.

Wyglądała na lekko zdumioną.

– Właściwie to nie pytałam poważnie, lecz wy mimo to dobrze wyważyliście swą odpowiedź. Ja nie musiałabym zaprzętać sobie tym głowy.

Zaśmiałem się cicho.

– Jesteście jeszcze młode.

– Skąd wiecie? Mogę być starsza od was, mój wygląd nie świadczy o latach, które dźwigam. – Obruszyła się lekko, ale i zaciekawiła.

Przylapałem się na tym, że zacząłem dobrze się czuć w jej towarzystwie. Rzeczywiście dawno nie czułem zapachu róż.

– To nie wasz wygląd, sera, lecz wasz sposób bycia, wasz entuzjazm, sposób mówienia i to, jak twarz zdradza wasze myśli.

– Już dawno jestem dorosła.

– Tak, zapewne tak. – Widziałem to aż za dobrze, nawet pod opończą i kolczugą wyczuwałem w niej kobietę doskonałą.

– Jesteście dorosłe, owszem, lecz nie stare. Kiedy będziecie stare, będziecie wiedzieć, co mam na myśli.

– Czy powinnam teraz skłonić głowę przed mądrością wieku? – zapytała z szelmowskim uśmiechem.

Pokręciłem głową.

– Bynajmniej, sera. Mądrość nie przychodzi sama z siebie, tylko dlatego że człowiek się starzeje. Mądro-



ści trzeba szukać. Obawiam się, że ja szukałem raczej jej przeciwieństwa. Głupotę mogę zaoferować w dowolnej ilości, ale mądrość znajdziecie u innych. – Wypiłem łyk wina. – Znacie teraz me imię, sera. Byłem świadkiem, jak się przedstawiliście. De Girancourt. Niezwykłe nazwisko. Flamandzkie?

Skinęła głowę.

– Urodziłam się w księstwie Flamandii, macie rację.

– Cóż, nie zamierzam cały czas zwracać się do was pełnym tytułem. Czy jest może jakieś szczuplejsze imię? Chyba nie byłoby rozsądnie ostrzegać was przed niebezpieczeństwem, wołając: „sera maestra de Girancourt, schylcie się!”.

– Jeśli w ogóle trzeba mnie ostrzegać. Zgodnie z waszymi słowami jesteście starzy i wypaleni, zgodnie z moimi – jestem młoda i zaprawiona w walce. – Roześmiała się, widząc moją minę. – Jesteście tacy poważni, Havaldzie. Nazywam się Leandra. Mówcie mi Lea, jeśli chcecie.

– Leandra. Lea.

Piękne imię. Mężna. Bycie mężnym często wiązało się z niesprawiedliwościami życia lub bólem. Życzyłbym jej, by nie musiała być mężna zbyt często.

Odgłosy burzy zaczęły cichnąć, wytłumiły się. Każdy w izbie wiedział, co to oznacza. Skinąłem głowę Lei i wstałem. Poszedłem do karczmarza, by powiadomić go, że ma wnieść do mego pokoju dodatkowe łóżko.

– Nie mam więcej wolnych łóżek – przyznał, rzucając bojaźliwe spojrzenie w stronę Lei. – Naprawdę niezmiernie mi przykro.



Machnąłem ręką. Miałem jeszcze trochę czasu na zastanowienie się, czy w moim wieku powinienem wykazać się galanterią i zaoferować jej własne łóżko, czy to ona musiała położyć swe młode kości na podłodze. Jedno było pewne: jeśli będę spał na podłodze, nazajutrz będę sztywny jak kołek.

– Mógłbym... – karczmarz przerwał moje rozważania.

– Tak?

– Może mógłbym wnieść do waszego pokoju moje łóżko. Żona odeszła już dawno temu, a córki... – Głos mu się załamał, kiedy napotkał moje spojrzenie. Doprawdy, nie byłem zainteresowany jego życiem rodzinnym.

– Dobrze, to wydaje się odpowiednie rozwiązanie – powiedziałem w końcu. – Dopilnujcie, by zrobiono to rychło.

– Chcecie już się udać na spoczynek? – Tym razem przeniósł lękliwe spojrzenie na zbójników. Jeden z nich usadził sobie właśnie na kolanach i oblał jedną z dziewczek, rozpaczliwie usiłującą się wyswobodzić. Kiedy w końcu, wśród gromkich porykiwań, udało się jej to, jej ubranie pokazywało więcej nagiej skóry, niżby chciała.

Większość dziewczek przychylnie odnosiło się do przygodnych amatorów z gośćmi. Brząk srebra czy wręcz złota rozpałał najbardziej pruderyjne kobiece serca. Nawet tak nieumyć i utyłani, jakimi byli – złota moneta działała cuda.

Lecz może się myliłem. Istniało pewne podobieństwo między dziewczkami a gospodarzem, a jego zatroskane spojrzenie zdradziło mi resztę.



– Wasze córki?

– Tak – odparł cicho. – Wszystkie trzy.

Podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem, że dziewczka, z poczerwieniałą twarzą i bliska łez, doprowadza do porządku ubranie.

– Są cnotliwe?

– Wystarczająco. Każda miała już swojego fatyganta, ale jak się można spodziewać, żaden nie został. Ale nie są zepsute, a jeśli obdarowują kogoś względami, to nie za złoto czy srebro.

Tego nie byłem taki pewny, ale rozumiałem, co ma na myśli. W skrytości ducha liczyłem na to, że bandyci odprężą się z dziewczkami i może nawet porzucą swe plany, o ile jakieś mieli. Zmieniłem zdanie. Dziewczęta nie przyniosą spokoju, wręcz przeciwnie.

Podszedłem do drzwi. Były solidne, zawieszone z lewej strony na stabilnym rzemieniu i nieskazitelnie wpasowane w ramę. W murze widać było ślady starych zawiasów; dawno temu drzwi te zostały roztrzaskane. Biegająca po krawędzi skórzana fałda zimą chroniła przed przeciągiem, lecz nawet tu, tuż przy drzwiach, nie czułem powiewu, tylko chłód.

Na wysokości oczu karczmarsza w drzwiach była klapka; musiałem się nieco schylić, by przesunąć ją na bok i wyjrzeć na dwór.

Zobaczyłem śnieg. Piętrzył się aż po klapkę. W stosunkowo krótkim czasie, od chwili gdy Leandra przekroczyła próg zajazdu, nastąpiło to, czego się obawiałem.

Zostaliśmy zasypani.





3. WIEŻA

Zajazd był zbudowany na planie prostokąta, każdy z boków stanowił osobny budynek – po lewej znajdował się główny, dalej kuźnia, szpizarnia i największy z nich – stajnie.

Wróciłem do swojego, nie, do naszego stołu i wziąłem skórzaną sakwę. Lea też wstała i odruchowo przypięła Kamienne Serce gestem wykonywanym tak często, że nie poświęcała mu nawet jednej myśli.

– Dokąd idziecie? – zapytała.

– Do wieży.

W takiej okolicy budowniczy zajazdu dobrze robił, jeśli go fortyfikował. Tak było w tym przypadku. Główny budynek stykał się na tyłach z prostokątną wieżą, przewyższającą go o dwa piętra. W razie poważnego oblężenia wprawdzie nie na wiele by się zdała, ale zapewniała ochronę przed zbójcami lub grasantami, o ile nie dostali się wcześniej do środka przez bramę. Prowadzący zajazd nigdy nie miał pewności, komu otwiera drzwi domu i zagrody.

– Chcę zobaczyć, jak to wygląda.



– Idę z wami.

Skinąłem głową i ruszyłem przodem. Nie po raz pierwszy nocowałem w gospodzie Pod Głowomłotem. Gościłem tu już od jakiegoś czasu i zamierzałem spędzić zimę w tym zajeździe. Gdyby nie żołdacy, byłby to przyjemny plan, być może nawet udałoby mi się pozyskać względy którejś z córek. Nic nie grzeje starych kości tak dobrze jak kobieta.

Drzwi do wieży nie były zamknięte. Obejrzałem je dokładnie. Ciężkie dębowe wrota wzmocniono stalowymi sztabami. O ile wiedziałem, było to jedyne dojście do wieży. Z izby prowadził tu tylko wąski korytarz, przez co trudno byłoby wyłamać drzwi taranem. One same zaś wyposażone były w zęby wpuszczane na dole i górze w kamień. Niezwykły był również ciężki zamek – rzadko widywało się coś podobnego na takim odludziu. Wydawał się stary, ale wykonany z dużym znanstwem. Nie był jedynym środkiem mogącym ochronić osoby zamknięte w wieży: wewnętrzny rygiel zrobiony był z solidnego żelaza, tak ciężkiego, że trzeba byłoby ze dwóch chłopów, by go przesunąć. Lub jednego naprawdę zdesperowanego.

Wymieniliśmy z Leą spojrzenia. Kamienny mur wieży był bardziej niż wystarczający dla zadań, jakie miał pełnić: gruby, szeroki na dorosłego mężczyznę, o starannie wykonanych spoinach. Ktokolwiek zbudował tę wieżę, wiedział, co robi, kamień niemal nigdzie nie osiadł, a spoiny były tak ciasne, że nie dało się w nie wcisnąć nawet ostrza sztyletu.



Przez potężne drzwi weszliśmy do dolnego pomieszczenia wieży. Stroma drabina prowadziła na kolejne piętro, zawieszona wyżej nad naszymi głowami, niż to było w zwyczaju. Nie była to może twierdza, ale nawet przy skromnych zasobach, jakimi dysponował właściciel zajazdu, ktoś pomyślał i o tym.

Lea dotknęła mnie i wskazała na podnóże drabiny.

Szczeble były wytarte, a sama drabina dość masywna. Po bokach widać było jeszcze żelazne pierścienie, przez które kiedyś przeciągnięta była linka na górę. Dawno temu ktoś przymocował drabinę do podłoża grubymi klamrami – może uznał, że za bardzo się chwieje. W razie szturmowania na to pomieszczenie nie było możliwości wciągnięcia drabiny na piętro, choć budowniczy przewidział taką ewentualność.

Za drabiną otwarta kłapa w podłodze prowadziła do piwnicy. Gdy tam zajrzałem, moim oczom ukazały się pełne worki i zaszpunktowane antalki; zapasy na zimę były wystarczające.

Na piętrze znaleźliśmy kwaterę karczmarza – trzy niewielkie izdebki, jedna przeznaczona dla niego, jedna służąca mu za gabinet i jedna dla córek. Wszystkie pomieszczenia stykały się z kominem, wokół którego w górę wiły się schody.

Kiedy usłyszeliśmy za sobą kroki, ponownie wymieniliśmy spojrzenia i wycofaliśmy się pod ściany. Ktokolwiek wchodził tu po stromej drabinie, stanie twarzą do mnie, a za plecami będzie miał Leandrę.



Był to tylko karczmarz; przyszedł zdemontować łóżko. Wpatrywał się we mnie z lękiem.

– Dobry człowieku, my tylko chcieliśmy wejść na wieżę, by zerknąć na pogodę.

– To moje prywatne pomieszczenia. Nie pozwalam... nie chciałbym, żeby przebywali tu goście.

– Rozumiem. Nie mamy złych zamiarów. Powiedzcie, dobry człowieku, macie może kawałek liny, mniej więcej dwa razy po trzydzieści stóp, która wytrzymałaby ciężar wołu?

Przytaknął niepewnie. Nie spodziewał się takiego pytania.

– A i owszem. W stajni na pewno się znajdzie. Cemu?

Przejechałem dłonią po drewnianej wciągarence, przymocowanej do ściany za mną, naprzeciwko solidnej klapy wjazdu, która mogła zamknąć wejście na górę. Wciągarka była stara, drewno pociemniałe, tu i ówdzie zebrały się na niej pajęczyny. Nie wątpiłem jednak, że wciąż działa.

– Może byłoby dobrze, gdyby dało się wciągnąć drabinę na górę.

Zobaczyłem, jak podąża wzrokiem za moją ręką, zerka na drabinę i wciągarkę, a potem z przestrachem przenosi spojrzenie na mnie. Otworzył szerzej oczy, uświadomiwszy sobie znaczenie mych słów.

– Sądzicie, że do tego dojdzie? – zapytał.

– Być może. Chyba że wasze córki się poświęcą.



Lea prychnęła gniewnie. Popatrzyłem na nią; jej oczy znów pały blaskiem.

– Tego bym nie chciał. – Głos karczmarza był cichy. Rozumiałem go. Gdybym miał córki, nie chciałbym, żeby przebywały nawet w tym samym kraju co ta hołota, a jego znajdowały się w tym samym pomieszczeniu.

– Załatwcie linę, zdejmijcie klamry – poleciłem mu. – Tylko dla ostrożności. Dzisiejszej nocy raczej nic się nie wydarzy, macie jeszcze czas. Wykorzystajcie go, by się przygotować.

Pobladł, ale skinął głową.

Zwróciłem się ku schodom z zamiarem kontynuowania oględzin wieży, kiedy przytrzymał mnie za rękaw.

– Panie, jeśli do tego dojdzie... oby bogowie nas strzegli... ale, ser, sera, czy przyjdziecie mi z pomocą? Wiem, że jesteśmy tylko marnymi wieśniakami, ale kocham swe córki, a to nie ich wina, że są nisko urodzone.

– Czy ja wyglądam na wysoko urodzonego? – zapytałem.

– Nie. Ale wiem, że mówicie wieloma językami, potraficie czytać i pisać, i widziałem, jak zwykliście jadać. Żaden wieśniak nie ma takich manier przy stole. – Poczzerwieniał. – Nawet prosiłem córki, by obsługiwały was ze szczególną uwagą, żeby nauczyły się, jak się jada na dworze.

Poczułem na plecach wzrok Lei. Skwitowałem uwagę karczmarza uśmiechem, choć wcale nie było mi do śmiechu.



– Dobrze. Lecz skąd pomyśl, że wysokie urodzenie mogłoby wpłynąć na to, czy wam pomogę?

Spuścił wzrok.

– To było tylko pytanie, ser, zrodzone w zatrwożonym sercu ojca.

– Chcecie usłyszeć moje zdanie? – Popatrzył na mnie z nadzieją. – Powinniście sprawdzić zapasy. Może nie wszystko, czego będziecie potrzebować, jest tutaj, może inne towary składowane są gdzie indziej. Dopilnujcie, by dało się wciągnąć na piętro drabinę. Trzymajcie pod ręką broń, najlepiej kusze, o ile je macie. Śpijcie tutaj, a przed udaniem się na spoczynek zaryglujcie drzwi na dole, i upewnijcie się, że nikt nie czeka na was w wieży.

– A moje dziewczęta?

Zawahałem się. Co miałem mu radzić? Wydawało mi się najrozsądniejsze, by dziewczęta dostosowały się do życzeń mężczyzn. Jeśli tego nie zrobią, obawiałem się, że mężczyźni i tak wezmą, co będą chcieli, lecz siłą. Widziałem utkwione we mnie zaleźnione oczy gospodarza i postanowiłem udzielić mu możliwie delikatnej odpowiedzi.

– Porozmawiajcie z nimi. Przygotujcie je na to, co je czeka. Jeśli coś się stanie, niech każda ucieknie prosto tutaj, jeśli będzie jeszcze mogła. Niech nie myślą o walce. Ta, która zostanie wzięta pierwsza, powinna grać na zwłokę, by jej siostry zyskały na czasie. Może pociechą będzie dla niej myśl, że jej siostr nie spotka ten sam los.

Gospodarz patrzył na mnie.



– Jesteście zimnym człowiekiem, ser.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, co się wydarzy. W ten sposób może uratujecie dwie z trzech córek. Przemyślcie to.

Pokręcił głową.

– Nie byłbym ojcem, który z podniesioną głową wyjdzie na spotkanie bogom, gdybym tak zadecydował.

Położyłem mu rękę na ramieniu.

– To nie wy decydujecie. Nie powiedziałem, że macie rzucić na pożarcie wilkom jedną z córek. Powiedziałem, że powinniście ratować pozostałe. To różnica.

– Tak. Dostrzegam ją. Lecz wynik jest ten sam. Mimo to dziękuję wam za radę. Będę się modlił, abym nie musiał brać jej sobie do serca. – Wykonał gest w stronę schodów. – Idźcie i obejrzyjcie sobie, co chcecie. Byłbym jaśnie państwu zobowiązany, gdybym rychło mógł nazwać ten dom własnym.

Wiedziałem, że chętnie wyrzuciłby nas stąd.

Zdjąłem rękę z jego ramienia. Nie ustąpił na bok. Pomyślałem, że stoi przede mną mężczyzna, który właśnie dokonał wyboru.





4 ZBĘDNA LEKCJA

Wszedłem po stromych schodach. Na górze znajdowało się pomieszczenie, które służyło rodzinie gospodarza za pokój dzienny. Tutaj, wysoko nad ziemią, znajdowały się też pierwsze okna wieży – w tej chwili były zamknięte, a szczeliny ciężkich okiennic uszczelniono lnem nasączonym łojem. W dużej izbie dominował kominek, wystarczająco duży, bym mógł w nim stanąć. Całą jedną ścianę zasłaniały warstwy drewna na opał. Na pulpicie, pod jednym z okien, leżał gruby foliał ze złotym trójkątem na okładce. Znak Trójcy. A więc nasz gospodarz jest wierzącym człowiekiem.

Otworzyłem księgę. Po lewej stronie ujrzałem nakreślone drobnym pismem drzewo genealogiczne karczmarza. Nazywał się Eberhard, jego córki – Sieglinde, Maria i Lisbeth. Jakoś nie byłem zadowolony z tego, że poznałem ich imiona.

Sieglinde musiała być tą jasnowłosą, z miłym uśmiechem. Zawsze dygała, kiedy dawałem jej miedziaka napiwku. Była dwa lata starsza od Marii – brunetki, uczynnej, i pracowitej. Maria nie uśmiechała się tak często jak

Sieglinde, miała ciche usposobienie, lecz jej oczy spoglądały z uwagą, a śmiech brzmiał czysto i perliście. Lisbeth była najmłodsza, miała ledwie czternaście lat, była bardzo płochliwa i powściągliwa.

Po przeciwległej stronie widniał trójkąt. Sprawiedliwość, Miłość, Mądrość: trzy wierzchołki.

– Jesteście zimni i bez serca, Havaldzie – usłyszałem za sobą głos Lei. Podeszła do mnie i obrzuciła wzrokiem księgę bogów. – Ja ze swej strony nie zamierzam beczynn timer patrzeć, jak dziewczkom dzieje się krzywda – oznajmiła zdecydowanym tonem.

Zamknąłem foliał, odłożyłem go na miejsce i odwróciłem się.

– Widzicie to krosno? Myślę, że należy do Sieglinde. Tak jak przędziona nić albo tkane sukno na krośnie, tak wszystkie nasze życia są wplecione w tkaninę losu. Nie dzieje się nic, co nie jest nam przeznaczone. Jedyne, co nam pozostaje, to możliwie utrudnić przeznaczeniu, by nas dopadło.

– I? Nie znam nikogo, kto nie chciałby być panem swego losu.

– Pewnie. – W moim głosie zabrzmiała gorycz. – Co miałem powiedzieć temu pocziwemu karczmarzowi? Że powinien być ostrożniejszy? Że trzeba było nająć więcej strażników? A przede wszystkim sprawniejszych? Że powinien odesłać stąd dziewczęta? W bezpieczne miejsce? Wiem, co by mi odpowiedział. Nie stać go na zawodową straż, jego córki pomagają w prowadzeniu zajazdu,



on je kocha i lubi mieć je przy sobie, poza tym do tej pory nigdy nic się nie wydarzyło. Zajazd jest uczęszczany i regularnie przebywają tu goście, którzy gwarantują bezpieczeństwo swą obecnością. Jest wolnym poddanym, ta ziemia należy do niego, płaci hrabiemu dziesięcinę. Sam hrabia uchodzi za przyzwoitego. Jeśli coś tu się wydarzy, wyśle w ślad za zbójcami zastęp żołnierzy. Jeśli ich znajdą, zostaną powieszani. To wystarczająca ochrona. Ale nie wtedy, gdy jagnięta zostają uwięzione w śniegu razem z wilkami. Wtedy wilkom przychodzą do głowy głupie pomysły.

Popatrzyła na mnie z determinacją.

– Moglibyśmy tego uniknąć. Wraz ze strażnikami kupców i przyboczną strażą podróżnych arystokratów jest nas trzynaścioro. Przeciwno dziewiątce, może nawet tylko szóstce. Myślę, że mamy do czynienia z dwiema grupkami. Moglibyśmy ich obezwładnić, zamknąć w piwnicach do zakończenia burzy i w ten sposób zażegnać niebezpieczeństwo.

Pokręciłem głową.

– Nie. Jeśli już, trzeba ich powiesić. Kiedy puścimy ich wolno, wrócą i się odegrają. – Widziałem, że trudno jej się zgodzić z tym argumentem. – Pomyślcie o tym, czego chcą. Może nie mają już w sobie za grosz przyzwoitości, wtedy będą mordować i grabić. Ja jednak sądzę, że chcą tylko grabić. Chcą zostać obsłużeni, chcą się zabiawić, ukraść złoto gospodarzowi, a potem, kiedy ustąpi śnieżyca, odejść w swoją stronę. Rada, której udzieliłem

karczmarzowi, jest zła. Rozsierzdzą się, gdy staną przed zamkniętymi drzwiami. Wyżyją się na dziewczce, którą być może już mają w swoich łapach, może zagrożą jej śmiercią. W rzeczywistości najrozsądniej byłoby dać im to, czego chcą, i pozwolić im odejść. Jeśli ujdzie się z tego z życiem, można wylizać rany i zacząć wszystko na nowo. W zimnej ziemi pociecha boskiej łaski jest znikoma.

– A co zrobicie, jeśli zażądamy od was złota?

Zaśmiałem się. To była absurdalna wizja.

– A skąd pomysł, że w ogóle jakieś mam? Mogę dorzucić do ich zbójeckiej kasy parę srebrników, akurat tyle, by wykupić własne życie.

– Którego już nie cenicie i o którym powiadacie, że wkrótce być może się zakończy. Czy nie lepiej wykorzystać je do tego, by pomóc tym biedakom? Wy nie cenicie już swego życia, oni swoje owszem.

Popatrzyłem na nią. Musiała ujrzeć na mej twarzy zdumienie.

– Ile, powiadałyście, macie lat?

– Nic nie powiadałam. – Odrzuciła przekornie głowę. – Lecz, jeśli chcecie wiedzieć, mam dwa tuziny i cztery lata. Od trzech lat jestem w randze maestry. Od szóstego roku życia trenuję walkę mieczem, od niemal roku jestem związana z Kamiennym Sercem.

– A kiedy straciłyście niewinność?

Musiałem tylko lekko poruszyć głową, żeby uchylić się przed ciosem. Domyślałem się, jak zareaguje, a ona wyraźnie zapowiedziała swój zamiar.



– To nie wasza sprawa – prychnęła, opuszczając rękę i zaciskając pięść. – Aż tak dobrze się nie znamy.

– Czyli to jeszcze nie nastąpiło – stwierdziłem. Spiorunowała mnie wściekle wzrokiem. Podniosłem rękę w obronnym geście. – Nie mówię bynajmniej o tym cennym i otaczanym pieczęcią mieniu. Miałem na myśli moment, gdy Kamienne Serce po raz pierwszy obdarzyło was krwią z serca wroga.

Milczała.

– Jeszcze nigdy? – zdumiałem się. Odbyla daleką podróż, nie sądziłem, że jeszcze się nie natknęła na żadne niebezpieczeństwa. – Nie musiałyście walczyć w drodze?

– Owszem – wyszczała przez zęby. – Niektórzy nie dowierzali, że sama potrafię się obronić.

– I darowałyście im życie?

Powoli pokiwała głową.

– I co potem? Pokonałyście ich, a następnie poczytałyście im z Dobrej Księgi?

– Przecięłam każdemu lewą pięć. Zasłużyli na to.

– W waszej łasce okaleczyłyście ich zatem. Niektórzy zapewne woleliby stryzynek. Inni zaś będą co noc wznosić modły do Soltara, by dał im sposobność dostania was w swoje ręce.

Instynktowym ruchem, ćwiczonym tak długo, że stał się nieświadomy, dobyłem z rękawa swój najlepszy sztylet. Lea miała dobry refleks, Kamienne Serce skończyło jej do ręki w tej sekundzie, w której moja klinga dotknęła jej krtani. Stała tak, w klasycznej postawie, gotowa do zadania ciosu smoka, od prawej w dół skosem



w lewo. Gdyby go wykonała, miecz rozplątałby moje ciało na dwie połówki, które ległyby na ziemi przed nią. Albo razem z nią – gdyż zdążyłbym jeszcze przebić jej przez krtań mózg.

Jej oczy spoglądały na mnie z determinacją, brwi ściągnęły się w jedną bladą kreskę. Była spokojna, jej usta zdecydowane, w skupieniu czekała na swój moment. Z fascynacją obserwowałem, jak kropelka krwi odrywa się od jej białej skóry i spływa po klindze mego sztyletu.

Oczy smoka na rękojeści miecza rozbłysły, ostrze wiedziało więcej niż ona. Nie znałem Kamienego Serca, wolalem działać, zanim pokrzyżuje mi plany. Podczas gdy ona patrzyła na mnie z nieugiętością, ustawiłem stopę w odpowiedniej pozycji. Może i byłem stary i już nie najszybszy, ale wiek i doświadczenie zawsze brały górę nad młodością i brawurą.

A jednak Kamienne Serce odcięło mi pukiel włosów, kiedy okręciłem się w bok, a Lea upadła.

Nie, nie przebiłem jej. To głowica sztyletu trafiła ją za uchem, i dokładnie tyle samo czasu, ile potrzebowałem na zmianę uchwytu i dźgnięcie, zajęło Kamienne-mu Sercu muśnięcie mych włosów. Na ziemi wylądowały równiutko odcięta część mego kaptura oraz magiczne ostrze Lei. Wystrzegalem się dotknięcia go gołą ręką. Przesunąłem miecz stopą, a i tak wydało mi się, że czuję jego gniew.

Leandra leżała przede mną. Kiedy tak na nią patrzyłem, gdzieś w środku poruszyło się we mnie coś zapomnianego,



a może już dawno uznanego przeze mnie za martwe. Leżała bez ruchu, tak jak powalił ją mój cios. Jej włosy błyszcząły w świetle samotnej świecy, która skąpo oświetlała pomieszczenie, oczy były zamknięte, twarz wyglądała spokojnie, pogodnie. Kolczuga podkreślała jej kształty, kładła się na łagodnej krągłości biodra, wydobywała wdzięczne linie nóg i rąk.

Wyglądała, jakby spała.

Schyliłem się i podniosłem kawałek kaptura. Będę musiał pamiętać, by go przyłatać. Już teraz czułem chłód w tym miejscu głowy.

Obok krosna stało krzesło Sieglinde, zwyczajne i proste, jak każdy mebel tutaj. Przyciągnąłem je i usiadłem. Położyłem na kolanach skórzaną sakwę. Czekałem. Gdzieś na dole krzątał się gospodarz. Co sobie pomyślał, kiedy usłyszał nasze łomotania? Nie wiem. W każdym razie nie zdecydował się na to, by sprawdzić, co się dzieje.

Upłynęła dobra chwila, zanim Lea otworzyła swe fioletowe oczy. Dość czasu dla mnie na oddawanie się bezsensownym rozmyślaniom. Dlaczego to zrobiłem? Żeby dać jej nauczkę? Czy wyrządzić przysługę? A może po prostu chciałem udowodnić, że nie jestem aż tak zużyty i bezwartościowy, jak mogłoby wynikać z moich słów.

Poruszyła lekko głowę i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Jeśli chcieliście mi pokazać, że błędem jest ufanie komuś, kogo nie znam, to mogę wam pogratulować – zauważyła, siląc się na neutralny ton. – Chcecie kontynuować tę lekcję? A może chcecie dopuścić się na mnie czynów nierządnych?



Ruch jej ramienia był ledwie dostrzegalny. Ze swego miejsca nie widziałem jej prawej ręki, która leżała schowana za ciałem, mimo to wiedziałem, co robi. Poza tym widziałem poświęcę. Uniosłem dłoń.

– Możecie sobie darować demonstrację waszej arkanicznej mocy. Po tym, jak przedstawiłyście się jako maestra, nawet najgłupszy łotrzyk wpadnie na pomysł, żeby połamać wam palce, zanim się z wami zabawi.

Przetoczyła się na bok i uniosła prawą rękę. Nad jej dłonią szybował niewielki biały świetlny punkt. Zimne światło, tak zimne, że aż mnie zmroziło.

– Lód? – zapytałem.

Wstała i popatrzyła na swą dłoń. Jej palce zamykały się powoli na światełku, aż zgasło.

– Tak, lód. W zależności od tego, jak jest z waszym zdrowiem, zamroziłby was na jakiś czas, a może na zawsze.

Skinąłem głową.

– Przypominam sobie. Lód to bardzo popularny czar. Nie zabójczy, ale efektowny. I niemal zawsze wychodzi. Zwłaszcza latem. Zimą rzadziej. Chyba jest to związane z balansem magii, ale zimą podobno zawodzi nawet przy co drugiej próbie.

Nie mogłem w to uwierzyć, ale przysięgam, że się zaczerwieniła. Wbiła wzrok w ziemię i nieobecnym gestem otworzyła dłoń. Kamienne Serce podskoczyło. Ostrze błysnęło blade, kiedy chwyciła za rękojeść. Przeciągnęła nim po lewej dłoni. Oboje przyglądaliśmy się, jak blade stal wsysa krew. Dopiero gdy ostrze skończyło,



wsunęła je do pochwy. Oblizwała ranę, na próbę poruszyła palcami i zacisnęła pięść.

– Chyba powinnam częściej pracować z ogniem – odezwała się cicho.

– Tak. Ogień budzi strach i jest potężny. Zwłaszcza zimą. Wszystkie istoty boją się ognia. Jeśli do tego dojdzie, pozwólcie przemówić płomieniom. Wypalcie im oczy.

– Taka jest wasza rada?

– Tak. Taka jest moja rada.

– A jeśli poniosę klęskę? Jeśli się na mnie rzucą, co zrobicie?

– Prawdopodobnie będę się przyglądał. – Nie wiedziałem, dlaczego wyraziłem się w tak bezwzględny sposób. Miałem na myśli to, że wtedy pewnie nie będę już zdolny do niczego innego. Nie chciałem jednak jej mówić, że już dawno podjąłem decyzję. Zamierzałem za dbać o to, by nic jej się nie stało. Jej i córkom gospodarza.

Wstałem i skierowałem się w stronę schodów. Zignorowałem dwa wyższe piętra i po chwili z trudem otworzyłem drzwi prowadzące na szczyt wieży.

Wiatr dął tu z pełną mocą, śnieg zasypywał blanki, tylko po zawietrznej pokrywa śnieżna była nieco cieńsza. Ale i tak niewiele dostrzegąłem – świat wokół mnie był ciemny i mroźny, tylko przez krótką chwilę widziałem zacinający poziomo śnieg, potem wiatr zdmuchnął świecę, którą ze sobą zabrałem.

Mrok i ziąb były absolutne. W mgnieniu oka przemarzmłem na wskroś i musiałem się wycofać do wnętrza



wieży. Tyle że teraz drzwi nie chciały się domknąć; potrwało dobrą chwilę, zanim zdołałem zasunąć rygiel.

Było tak, jak się obawiałem. Znajdowaliśmy się w samym sercu jednej z najgorszych zawiei, jakie kiedykolwiek widziałem. Biada wędrowcowi, którego noc zastanie z dala od schronienia. Nikt z nas nie opuści tego miejsca przez najbliższe dni. Zapewne nawet próba przedostania się przez podwórze mogła kosztować życie.

Kiedy zszedłem na dół i postawiłem świecę przy krośnie, pomieszczenie było puste. W pokoju gospodarza brakowało łóżka. Byłem w wieży sam.

Powoli udałem się z powrotem do gospody. Wyglądało na to, że sytuacja się nie zmieniła. Było mi tylko cieplej niż przedtem. Ogień w obu kominkach buzował żywo, płomień tańczyły w ciągu dymnika, a z paleniska dochodziły gwizdy i zawodzenie, jakby składały nam wizytę duchy z krainy umarłych. Było jakoś tak przytulnie. Leandry nigdzie nie widziałem. I chyba tak było lepiej.

Może miałem takie wrażenie za sprawą zawodzenia burzy, na której ataki jeszcze przed chwilą byłem narażony, a może rozmowy rzeczywiście nieco ucichły. Wróciłem do swojego stołu. Jedna z dziewczek – Maria – na mój znak przyniosła mi wino, tym razem przyprawione goździkami. Odprowadziłem ją wzrokiem, kiedy pośpiesznie mijała stół najemników, by umknąć przed rehotami męzczyzn, doskonale zdających sobie sprawę, że dziewczęta się ich boją.

Rzuciłem okiem na kupców. Cały czas rozmawiali stłumionym głosem, ale ich strażnicy siedzieli już ina-



czej. Niektórzy się przesiedli, tak by móc ogarnąć wzrokiem izbę. Tu i tam, gdzie przedtem stał kufel z piwem, dostrzegłem czarkę z herbatą.

Przyglądałem się reakcji kupieckiej eskorty, kiedy najmłodsza z dziewczek, Lisbeth, została wciągnięta na kolana jednego z żołdaków. Lisbeth udało się wykupić soczystym cmoknięciem, ale widziałem, że już niewiele trzeba, a łupieżcy wezmą sobie, czego pragną. Na razie sami nie byli pewni, jak daleko mogą się posunąć.

Oparłem się o ścianę, zamknąłem oczy i wziąłem łyk wina. Było tak, jak myślałem. Strażnicy może byli gotowi do obrony życia i mienia swych chlebobawców, ale żaden z nich nie będzie interweniował z powodu jakiejś dziewczki.

Otworzyłem oczy i ponownie otaksowałem pozostałych gości. Dzisiejszej nocy z pewnością jeszcze nic się nie wydarzy. Żołdacy – jeśli te lotry rzeczywiście nimi są – wydali mi się zbyt pijani, by stanowić poważne zagrożenie. Wiedzieli tak samo dobrze jak ja, że gdyby doszło do walki, w tym stanie tylko potykałoby się o własne nogi.

Ale mój niepokój wzbudzała grupka trzech najemników. O ile dobrze oceniałem, nadal byli w miarę trzeźwi. Do głowy cisnęła mi się myśl, że na kogoś czekają. Ktokolwiek to był, w taką pogodę nikt już nie przybędzie. Nie dziś w nocy, i z dużym prawdopodobieństwem nie w ciągu najbliższych dni.

Dopiłem wino, sięgnąłem po sakwę i udałem się do swojego alkierza.



5 ORTENTHALSKIE WINO

Drzwi były zaryglowane, więc zapukałem. Przez dłuższą chwilę nie działo się nic i już podniosłem rękę, żeby zapukać ponownie, kiedy w końcu się otworzyły. Stała przede mną.

Włosy miała rozpuszczone, ubrana była w prostą lnianą koszulę, która była na nią za krótka, a w rękę trzymała długi nagi miecz. Jego czubek był pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, następnie jej wzburzone oczy, a dopiero potem dane mi było rozkoszować się widokiem prostej nocnej koszuli podkreślającej figurę i lekko prześwitującej w świetle samotnej świecy stojącej na stole.

– Dlaczego miałabym was wpuścić? – zapytała.

– Może dlatego, że to mój pokój?

Przechyliła głowę.

– To jest jakiś argument.

Cofnęła się, a ja wśliznąłem się do środka i zamknąłem drzwi. Zmierzyła mnie badawczo wzrokiem i dopiero po chwili opuściła klingę.



Pomieszczenie zdobiły stół i dwa krzesła oraz komoda, na której stała miska z zamrożoną wodą. Dysponowało nawet własnym kominkiem, w którym płomienie pełgały tak samo wesoło jak w obu kominkach na dole. Mimo to nie mogłem powiedzieć, że jest tu ciepło. Lea podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem, wyładowała na swoim biuście. Podniosła wzrok i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Zimno mi.

– W takim razie powinniście udać się na spoczynek – odparłem.

Uwolniłem się od nęcącego widoku i podszedłem do niewielkiego stołu. Leżała na nim otwarta mała książka o cieniutkich stronicach. Kiedy na nie spojrzałem, pismo roztańczyło się, wijąc i meandrując, aż niemal zakreśliło mi się w głowie.

Zamrugalem i oderwałem wzrok od książki.

– Magia rytualna? Myślałem, że w dzisiejszych czasach stosuje się raczej zaklinanie bezpośrednie.

– Jak na starego dziadka, sporo wiecie.

– Takie są zalety starości. Człowiek coś zasłyszyci tu i tam.

Owinęła się kołdrą i podeszła do mnie, bosa, by zająć miejsce przy stole.

– Magia rytualna działa wolniej niż bezpośrednia – powiedziała cicho. – Lecz jest nieporównywalnie potężniejsza. Można dzięki niej rozniecić inne rzeczy. To magia, która może utrzymywać się przez dłuższy czas.

Zamknęła książkę, odchyliła się i podjęła inkantację, tak gęsto przetykaną gardłowymi dźwiękami, że zacząłem się obawiać o jej krtań. Nie poruszałem się przez cały ten czas. Nie wiedziałem, co robi, i nie chciałem jej rozpraszać albo dostać się pod działanie tego, co kreowała.

W pomieszczeniu na chwilę pociemniało, świeca niemal zgasła, nawet ogień w kominku skarłał. Zdjęto mnie nienaturalne zimno. W skroniach poczułem znajomy ucisk, który zaraz zelżał.

– Gotowe – oznajmiła i oparła się, wyraźnie wycieńczona.

– Co to było?

– Zamknęłam drzwi. Nikt ich nie otworzy aż do świtu.

– Nawet ja?

Nie otwierając oczu, pokręciła głową.

– Nikt. Poza mną. Dopiero kiedy ich dotknę, zakłęcie zostanie zniesione.

Podszedłem do drzwi i szarpnąłem. A właściwie spróbowałem szarpnąć. Ani drgnęły. Puknąłem w drewno: rozległ się odgłos, jakbym uderzył w kamienną płytę.

– Imponujące. – Popatrzyłem na nią. Siedziała oparta, z zamkniętymi oczami, głową odchyloną do tyłu. Na gładkiej szyi dostrzegłem niewielką ranę, którą jej zadałem.

– Uczą tego w świątyniach?

Znowu pokręciła głową.

– Nie. Magii rytualnej już prawie się nie stosuje. Wymaga dużego skupienia.

